

Niżyńskiego mam w DNA

Niżyński

Spektakl w reżyserii i scenografii Waldemara Zawodźńskiego oraz według scenariusza i Kamila Maćkowiaka przez osiem lat był grany w Jaraczu. Po odejściu aktora z teatru Fundacja Kamila Maćkowiaka odkupiła spektakl. Ostatni spektakl w Łodzi został zagrany w 2013 roku. Spektakl zebrał mnóstwo nagród, m.in. w Łodzi (Złota Maska), Kaliszu, Jeleniej Górze, Wrocławiu. W 2007 roku Maćkowiak dostał za rolę Niżyńskiego główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Monodramów MONOKL w Sankt Petersburgu. W 2008 roku - nagrodę mediów niemieckich na Festiwalu Monodramów w Kilonii - THESPIS Media Award.

Kamil Maćkowiak zżegna się z monodramem „Niżyński”.

Cztery ostatnie spektakle zagra w Łodzi - 10 i 11 oraz 20 i 21 września, w Teatrze Nowym.

ROZMOWA
Z KAMIEM MAĆKOWIAKIEM

IZABELLA ADAMCZEWSKA: Musieliśmy spotkać się wcześniej, bo biegiesz na siłownię. Pracujesz nad ciałem z myślą o czterech ostatnich spektaklach „Niżyńskiego”?

KAMIL MAĆKOWIAK: - Zawsze potrzebuję motywacji. Jeśli muszę schudnąć do roli, robię to. Na co dzień mam z tym większy problem, bo nie należę do ludzi przesadnie dbających o sylwetkę, wygląd, ubranie. Nie jestem metroseksualny. Chciałbym być zadbany, ale chyba jestem zbyt leniwy. „Niżyński” wymaga wielu poświęceń. Miałem rok przerwy, od premiery minęło 11 lat. Zresztą momenty baletowe w tym spektaklu zawsze były dla mnie wyzwaniem, bo monodram miał premierę siedem lat po skończeniu przeze mnie szkoły baletowej. Teraz minęło już prawie 20 lat od zamknięcia tego etapu, więc to nie tylko kwestia pracy nad sylwetką, żeby schudnąć dziesięć kilo. Grałem Niżyńskiego w jeszcze gorszych warunkach fizycznych i to się broniło, bo to przecież historia tancerza nie tańczącego już trzy lata, który jest w totalnej psychozie. Chodzi o kondycję i możliwość ciała, które w paru momentach ma być jednak jeszcze wiarygodne.

W jednym z wywiadów powiedziałeś: gdy gram Niżyńskiego, to się nawet nie rozciągam.

- Kiedyś mogło tak być (*śmiech*). Niżyński skończył karierę w wieku lat 26.

- Kiedy miał 29 lat, został zamknięty w zakładzie psychiatrycznym. Dzienniki przedstawiają sześć ostatnich tygodni normalności, kiedy Niżyński miał jeszcze jakiś kontakt z rzeczywistością. Kończą się wyjazdem do Zurychu na badania, a potem następuje trzydziestoletnia hospitalizacja zakończona śmiercią. Jego ostatni występ, 19 stycznia 1919 roku, od którego zaczyna się spektakl, to nie jest taki występ, jaki Niżyński dawał wcześniej. Wyszedł na scenę już w stanie choroby i zaczął improwizować. Z relacji ludzi można wywnioskować, że to było straszne - miotanie się chorego człowieka. Trudno to nazwać ostatnim występem.

Ty już nie masz 26 lat.

- Kiedy była premiera „Niżyńskiego”, miałem 25. Wiek robi swoje. Nie jestem tancerzem od lat 19,



Rok 2005. Kamil Maćkowiak na próbie spektaklu „Niżyński”

a w spektaklu są przecież elementy baletu klasycznego. Jakkolwiek bym się nie rozciągnął przed przedstawieniem, to już jest za mało. Ale kij ma dwa końce. Nie mam wątpliwości, że teraz ten spektakl jest lepszy niż kiedykolwiek. Zyskiwał z sezonu na sezon. Na etapie premiery byłem chłopcem, który grał narratora choroby. Teraz jestem 36-letnim facetem, który gra absolutnie megachorobę psychiczną, jest w niej bardzo głęboko osadzony i wiarygodny.

Dorośleś emocjonalnie?

- Zagrałem ten spektakl ponad 200 razy, również w obcym języku. Niżyński bardzo głęboko we mnie wszedł. To, co jest warsztatowym atutem roli - zapętlenie, granie chorego człowieka - stało się naturalne. Jeśli będę majaczył przed śmiercią, to tekstem Niżyńskiego. Mam to wgrane w DNA. O ile może być skończony monodram.

Dlaczego po 11 latach rezygnujesz z „Niżyńskiego”?

- Wiele razy chciałem się pożegnać z tym spektaklem. To były bardzo emocjonalne momenty, kiedy chciałem zrzucić z siebie ciężar. Ale po paru miesiącach zaczynało mi tego brakować. Potrzebowałem uznania, które dawała rola. Wejścia na wyższy poziom aktorstwa. Spektaklu, który wymaga wszystkiego. Kiedy Łódzkie Centrum Wydarzeń zaproponowało mi współpracę, pomyślałem, że to dobry moment na pożegnanie. Bez pomocy ŁCW nie byłbym w stanie pokazać tego monodramu w Łodzi. Centrum wynajmuje mi profesjonalną scenę - zagram w Teatrze Nowym - i ekipę techniczną. Cieszę się, że ostatnie spektakle pokażą właśnie w Łodzi. Wiele osób pytało mnie, czy „Niżyński” będzie jeszcze tu grany. To fajna kłamra, zamknięcie spektaklu w miejscu, w którym powstał. To łódzka publiczność w dużej mierze stworzyła sukces „Niżyńskiego”. Przez osiem lat grania

“
Zasłabłem na scenie. Ocknąłem się. Patrzyli na mnie zdziwieni widzowie

w Łodzi to był frekwencyjny hit, a przecież nie jest to spektakl łatwy i przyjemny. I nie występuje w nim celebryta.

Nie bądź taki skromny, niektórzy nazywają cię aktorem celebryckim.

- Nigdy w życiu nie byłem na ściance, nie chodzę po warszawskich bankietach.

Jako mecenas swojej fundacji może powinieneś o tym pomyśleć.

- To prawda. Przez ostatni rok bardziej jestem menedżerem niż artystą. Przeszedłem na drugą stronę i mam coraz większy problem z decyzją, na czym się skoncentrować. Pracuję teraz nad kolejnym spektaklem, piszę scenariusz, ale też działam promocyjnie i próbuję pozyskać sponsorów. Tej pracy nie widać, ale to, że nasza fundacja przez dwa lata przetrwała bez dotacji, to gigantyczny sukces.

Sławomir Pietras porównał cię i Waldemara Zawodźńskiego do Niżyńskiego i Diagilewa. Wrócisz do współpracy z Zawodźńskim?

- Pomijając kwestie pudelkowe, nie jestem słabą osobowością. Jestem

słabym charakterem, ale osobowość mam silną. To, co było clou tamtej relacji, zależność, w naszym duecie nigdy nie miało miejsca. Najnowszy plan fundacji to dwie produkcje. Już nie monodramy, one będą w offowym nurcie. W jednym z tych dwóch spektakli zagram z Magdą Schejbal, w obsadzie drugiego w ogóle mnie nie będzie. Jeden wyreżyseruje Waldemar. Dziwię się, że w Łodzi, poza mną, nikt go nie zagospodarowuje. Niedawno miał we Wrocławiu premierę „Carmen” dla 30 tys. widzów.

Postanowiłeś zrobić „Niżyńskiego”, bo sam tańczyłeś w balecie?

- Nie, właśnie nie. Poszedłem na film Paula Coxa, który był inscenizacją dziennika Niżyńskiego. Zetknąłem się z tym nieprawdopodobnym tekstem i zafascynowała mnie wrażliwość tego faceta, jego choroba, to, że ciało stało się dla niego więzieniem. Trochę się już z tego wyleczyłem, ale mój pierwszy monodram, zrobiony jeszcze w ramach teatru amatorskiego, był też o chorobie psychicznej. Fascynował mnie ten temat, chciałem go dotknąć. Tekst nawet najlepszemu pisarza nigdy nie będzie miał takiej mocy, jak autentyczny Niżyńskiego. Praca nad scenariuszem z Zawodźńskim trwała rok. Kiedy odszedłem z Jaracza, moja fundacja odkupiła spektakl, bo Teatr Polski w Warszawie zaproponował, żebyśmy grali tam „Niżyńskiego”. Jako producent byłbym idiotą, gdybym nie wykorzystał takiej szansy.

Wypełniając Kwestionariusz Prousta, na pytanie o najgorszy dzień na scenie odpowiedziałeś: premiera „Niżyńskiego” po angielsku. To było w Niemczech.

- Dwa razy wydawało mi się, że naprawdę zwariowałem na scenie. Za pierwszym razem właśnie w Niemczech. Grałem bardzo intensywną scenę, pełną zapętlen słownych, w obcym języku. Musiałem się tego wyuczyć, bo nie myślę przecież po angielsku. W pewnym momencie miałem wrażenie, że jestem trochę obok. Że ciało gra, a ja patrzę na to z dystansu. To było przerażające! Drugi raz zasłabłem na scenie. Ocknąłem się. Patrzyli na mnie zdziwieni widzowie. Długo prześladował mnie słynny koszmar aktora, że publiczność wychodzi, a ja ich zatrzymuję i przekonuję, że mogę zagrać lepiej. Ale to już w „Divie” przepracowałem.

Raz przerwałeś spektakl.

- Nigdy o „Niżyńskim” nie napisano tyle, co wtedy. Zaczęły zgłaszać się do mnie media, które nigdy nie zainteresowałyby się ani wartością przedstawienia, ani nagrodami. Sensacyjność na poziomie celebryckopudelkowym. Miałem nadciśnienie, przestałem brać leki z własnej głupoty. Poczulem się słabiej, przy dwustu osobach. Ktoś, kto zasłabnie przy biurku, nie wzbudza zainteresowania.

„Niżyńskiego” grałeś też w Rosji, w Moskwie i Petersburgu. Jak cię tam przyjęto?

- Fantastycznie. Publiczność reagowała nieprawdopodobnie. Byłem

noszony na rękach. W Moskwie grałem dwa razy, telewizja nakręciła o mnie program. Wyemitowano go w dzień drugiego spektaklu i już na wejściu dostałem owację na stojąco. Rosyjska publiczność jest dużo bardziej otwarta w reakcjach, również negatywnych. Śmieiej wychodzi, śmieiej krzyczy „brawo”. Bardzo się bałem konfrontacji. W Petersburgu wygrałem festiwal [Międzynarodowy Festiwal Monocle - red.] i następnego dnia organizatorzy przysłali mi pod hotel limuzynę. Obwieźli mnie po Petersburgu i miejscach, w których Niżyński bywał. Jury, przyznawszy mi Grand Prix, napisało w uzasadnieniu, żartem, że z wielkim żalem daje nagrodę Polakowi, ale musi. A to był czas, kiedy wprowadzono embargo na mięso z Polski.

Przez jedenaście lat grania „Niżyńskiego” na pewno wydarzyło się mnóstwo niespodziewanych sytuacji.

- Grałem monodram po raz dziewiąty i zerwał się dźwięk. W ostatnim tańcu, kiedy Niżyńskiemu metaforycznie walił się na głowę świat. To anegdota, ale miałem się właśnie powiesić na drążku głową w dół. Innym razem wyszedłem na scenę, wypowiadałem słowa: „Wiem, wiem, że na mnie czekacie” i słyszę, jak panie w pierwszym rzędzie się dziwią: „Przecież to nie jest Wrocławski!” i wychodzą. Pomyliły sceny, bo na malej Broniek grał wtedy swój monodram. Występowałem jako gwiazda wieczoru w gdańskiej szkole baletowej, na scenie, na której debiutowałem jako nastoletni tancerz. To było nieprawdopodobne, bo publiczność - koledzy ze szkoły i nauczyciele - wylapywała rzeczy, które rymowały się ze mną. Kiedy mówiłem: „Nie byłem łatwym uczniem”, słyszałem śmiech. Był taki moment, że ludzie naprawdę identyfikowali mnie z Niżyńskim. Stoję w Tesco przy stoisku z bazylią, a jakaś pani mówi: „O, pan Niżyński”. Była przekonana, że tak się nazywam. Ten spektakl naprawdę bardzo mnie naznaczył. Podchodzę dziś do niego z większym szacunkiem niż kiedyś. ●

ROZMAWIALA IZABELLA ADAMCZEWSKA